

Miłosz Piotrowiak

Czarne drzewa : wokół "Dębów" Zbigniewa Herberta

Postscriptum Polonistyczne nr 2(2), 233-240

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIŁOSZ PIOTROWIAK
Katowice

Czarne drzewa. Wokół *Dębów* Zbigniewa Herberta

Znakomity wiersz Zbigniewa Herberta *Dęby* z tomu *Elegia na odejście* ma rangę testamentu kosmologicznego. Testament zawsze wiąże się z finałem, końcem życia, epoki, myśli. W tym przypadku testamentalność to stan świata, który wypadł z ram sensu, koniec krainy ładu, harmonii, piękna i dobra. Dlatego poeta hermeneuta próbuje negocjować w trudach sens świata. Skoro samonośnej logiki już nie ma — trzeba ją ufundować. Dlatego testamentalne dziedzictwo to trudny spadek, ale i wielki majątek myśli ludzkiej.

Milczą chóry antycznej tragedii, zdolne skomentować, odnaleźć przyczynę i sens losu tragicznego bohatera, odeszli starotestamentowi prorocy — głoszący słowa Boga, obdarzeni wiedzą na temat planów Pana, a więc i losów świata. Wobec wyzwania, jakie niesie w sobie cierpienie, bezsilne okazuje się myślowe dziedzictwo antyku i judaizmu, tragiczne i biblijne próby racjonalizacji ludzkiego losu (Franašek 1997, 247).

Tak powstaje dendrologiczna poetyka, mowa wiązków — święta mowa drzew: poezja. Wiersz — korona słów jest pięknym wykwitem tego, co schowane, szczeriale i zziębione — korzeni, splątanych więzów tradycji. Testamentalność w tym sensie zyskuje dodatkowy wymiar tego, co rodzi się na szczątkach poległych, podnosi na kopczykach przyrastających pokoleń kości, wykwiata z żyźnego humusu tradycji. Zatem „ostateczność” wpisana w tekst *Dębów* miałaby wymiar metatekstowego pisania postscriptum. Oto zamknęła się pewna epoka humanistycznej myśli od antyku po

postmoderne — i jako poeta, mając w sumie wątpliwe szczęście żyć w tych czasach, spisuję testament humanisty. Ktoś powie, że nie nowa to artykulacja zwątpienia, bo takie funeralne oracje nad wątłością świata trwają od Aureliuszowych myśli czy Koheletowych wersetów. Czy jednak można jeremiadę Herberta porównać do poetyckich zamyśleń tych, co już od XVIII w. pytali: jak można żyć i tworzyć po Oświeceniu? Bowiem to, co miało rozjaśnić, przydać głębi wejrzeniu, poszerzyć dookolne horyzonty i dlatego z pasją zrywało wszelkie zasłony, parawany i klosze, spowodowało, że wraz z obiecaną dalą, wolnością i równością pojawiły się: ziejąca pustką otchlań, czarne zapadliska i głucho odbijające głosy ziemian niebo. Lecz do XX wieku wysiłki myślicieli humanistów były nagradzane. Pascal wynegocjował swój wielki zakład, Spinoza wyliczył algorytm stworzenia, a Hegel pozostawił równanie dziejów z miejscem na jedną niewiadomą. Dopóki nie pojawiła się trójka deziluzjonistów — Nietzsche, Freud i Marks. Ci, jak ich nazywa Maria Janion, „mistrzowie podejrzania” odarli świat z wszelkiej iluzji, podpłiwali myślową (kulturową, religijną, społeczną) trampolinę, dzięki której można było wybić się ku transcendencji. Człowiek z usuniętym spod nóg światem stoi (na krawędzi) w punkcie wyjścia. Może tylko przerzucać naprędce zrobione mosty nad tą przepaścią, próbować wielkiego skoku, bądź z pasją linoskoczka balansować nad otchłanią. Lecz im większe wyzwanie, tym bardziej spektakularne efekty. Dlatego Herbertowe poetyckie wyznanie: „a pod każdym liściem rozpacz”, które wydaje się przekreślać wszelkie pocieszenie, może stanowić pretekst do mocnego odbicia — próby przelamania letargicznego trwania.

Herbert jawi nam się jako hermeneuta, który idąc drogą fałszywej etymologii słowa *hermeneutika* i wyprowadzając ją od boga Hermesa, przenosi sensy, planuje kontrabandę mającą wyprowadzić nadzieję z krainy nihilistycznego cierpienia.

W lesie na wydmie trzy dorodne dęby
 u których szukam rady i pomocy
 bo chóry milczą odeszli prorocy
 nie ma na ziemi nikogo bardziej
 godnego szacunku dlatego do was
 kieruję — dęby — ciemne pytania
 na wyrok losu czekam jak niegdyś w Dodonie

Stajemy z poetą w centrum świata wyznaczonym przez *axis mundi* — mityczne Dęby. Padają liście i padają pytania. Liście, których szum był dla ka-

planów w Dodonie wróżebnym znakiem, informacją, milczą, są wydane na pastwę śmierci i niczego nie obwieszczają. Ale wiele znaczą. Dla ginącej fauny i flory trudno znaleźć wyższą, usprawiedliwiającą instancję w naszej szerokości kulturowo-religijnej. Lecz to aluzja każąca nam myśleć o kondycji humanistycznej. Skoro przyroda jest nierozumna, okrutna, zła, nieludzka, to znaczy, że dobro, miłosierdzie są nienaturalne; czyli są to sztuczne, ludzkie protezy. Darwinizm, który determinuje wypadki wzrostu i doboru gatunków, to bolesna lekcja dla humanistów poszukujących paraboli w świecie dębów czy mrówek.

Lecz muszę wyznać że mnie niepokoi
wasz rytuał poczęcia — o rozumne —
u schyłku wiosny na początku lata
w cieniu konarów roi się
od waszych dzieci i niemowląt
przytulki listków sierocińce kielków
blade bardzo blade
słabsze od trawy
na oceanie piasku
walczą samotnie samotnie
dlaczego nie bronicie waszych dzieci
na które pierwszy mróz położy miecz zagłady

Niezwykła to odmiana dykcji poetyckiej — zmieszanie wzniosłej, hierarchicznej mowy rodem ze świętych tekstów z baśniową konwencją opowieści dla dzieci, domowej klechdy o wszechstworzeniu. Uniżoność monologisty wobec majestatu natury (muszę wyznać, że mnie niepokoi), eufemistycznie skrywane oburzenie za retoryczną konwencjonalnością zwrotu wskazują na trwogę stojącego w mateczniku świata, ale i pokorę, z pomocą której chce on wyprosić odpowiedź na trudne pytania. Pytania o sensowność skierowane wobec Natury nie przynoszą jednak satysfakcjonującej odpowiedzi. „Dębowa epopeja bycia” (termin za: Stala 1997, 94) nie jest etycznym rozwiązaniem. Natura pozbawiona jest instynktu moralnego. Poeta, tłumacząc swe biologiczne obserwacje na ludzką miarę — używając antropomorfizmów (przytulki listków, sierocińce kielków), odkrywa wręcz bestialstwo przyrody — jej morderczą naturę, która z pasją metodycznie zadawanej zbrodni zaspokaja swe „naturalne” potrzeby. Można wręcz powiedzieć, że w projekcji Herberta przyroda ma wymiar totalitarny, w którym zagłada i represja jest programem działania (nawet wobec najbliższych), a samotnej jednostce

pozostaje beznadziejna walka, która przez strażników systemu nazwana zostanie „wynaturzeniem”. Tak spada „hymen”, zasłona niewinnej przyrody.

Co znaczy — dęby — szalona krucjata
rzeź niewiniątek ponura selekcja

Pytania skierowane do Dębów zaczynają zataczać coraz szersze kręgi tematyczne. Już nie tylko selekcyjny ewolucjonizm z twardym prawem Darwina stanowi przedmiot ich dociekań, ale i śmiertelne selekcje kreowane przez Logos historii — niby rozumną instancję dziejową, w której opatrnościową moc wierzyły pokolenia humanistów. I znów pod okularami hermeneuty historia widziana jest w makroskali, niby wielka ściana odkrywkowa, na której poszczególne pokłady krwawych, nierozumnych rzezi regularnie się powtarzają i tylko ich przewidywalny układ świadczy o pewnej ludzkiej racjonalności. Tylko takiej, że można przewidzieć następną erupcję ludzkiego zła, lecz nijak nie można mu się przeciwstawić. Pytanie o „szaloną krucjatę”, „rzeź niewiniątek”, „ponurą selekcję” boli nas jeszcze mocniej, jeśli uzmysławiamy sobie dziecięcy obiekt krwiożerczych nawyków ludzkości. Nie tylko ze strony obłąkanego tyrana czy wyrachowanego planisty zagłady, lecz również ze strony instytucji kościelnej, która współtworzyła, okryte złą sławą, krucjaty. Innym, wartym wskazania akcentem tego fragmentu, wydaje się różnorodność restytuowanych motywów. Ilustrowana średniowieczną ryciną historia powszechna (szalona krucjata) miesza się z historią biblijną (rzeź niewiniątek) i planem zdarzeń dwudziestowiecznych (ponura selekcja). Pytania etyka podglądającego świat flory z pierwszej części w tym momencie stały się interpelacjami tego samego etyka patrzącego na świat ludzkiej fauny. Rojowisko żołądź — dębowych dzieci, zastąpione zostało miejscem lęgu ludzkich historyjek — małych, niby żołądzie, w stosunku do wielkiego pnia — historii *homo sapiens*. Lecz każde poszczególne wydarzenie, tak jak nieliczące się w skali tysięcy ziarenko, traktowane jest po macoszemu. Wielka Historia, tak jak Magna Mater — Wielka Matka Natura, nie są miłosierne wobec pojedynczości. Tylko poetę, tego specjalistę od liczby pojedynczej, interesuje to, co poniechane, odtrącone, nieopłakane. Dla Historii i natury to statystyka, dla poety — tragedia.

[co znaczy]
ten nietzscheański duch na cichej wydmie
zdolnej utulić słowicze żale Keatsa

tutaj gdzie wszystko zda się skłania
do pocałunków wyznań pojednania

Wydaje się, że obecność ducha wielkiego demaskatora, jak śmiało możemy nazwać Fryderyka Nietzschego, wiąże się niechybnie z przywoływanym już determinizmem, który powoduje wybór silniejszego zamiast słabszego, nie-licznych, wybranych wobec społeczności równych.

Można również rozumieć ten sygnał jako sztandarowe, niejako podręcznikowe hasło — utożsamiane z duchem niemieckiego filozofa — o śmierci boga, po którym pozostało puste niebo moralistów. Lecz cicha wydma nawiedzona obecnością Nietzscheańskiego ducha nie musi mieć tylko złowieszczych wydźwięków. Jako miejsce położone nad morskim brzegiem, o który regularnie uderzają fale, może zwiastować ideę wiecznego powrotu tego samego, która w filozofii Nietzschego wydaje się pierwiastkiem wielce pozytywnym, o wręcz afirmatywnym znaczeniu. Ciekawszym zjawiskiem jest jednak funkcja, jaką przydano tej cichej wydmie, która ma być „zdolna utulić słowicze żale Keatsa”. Dlaczego autor *Ody do słowika* miałby zaznać ukojenia na cichej wydmie? I jak pogodzić pienia sentymentalisty z filozofowaniem młotem Nietzschego? Odpowiedź musi być jedna — w żaden sposób nie można. Ich odmienność jest wręcz modelowo rozłączna — jeden nerwowo zakopuje otchłań, a drugi jeszcze bardziej zapalczywie obnaża ją na oczach świata. Fraza „tutaj gdzie wszystko zda się skłania / do pocałunków wyznań pojednania” wyznacza antypody retorycznego aparatu Nietzschego. To organicznie niemożliwy do artykulacji przez Nietzschego sposób wypowiedzania świata. Tak jak niektóre narodowości nie są zdolne do wypowiedzenia pewnej grupy zbitek spółgłoskowych w obcych sobie językach, tak nihilista nie wykrztusi z siebie śpiewu bożej ptaszyny. Skąd zatem to sąsiedztwo w pełnej symbiozie, można powiedzieć poetycko — filozoficzne *unisono*? Mianowicie — każda idylla ufundowana jest na założycielskim geście ofiarniczym, im większe piękno nas teraz zachwyca, tym większa zbrodnia musiała zostać w tym miejscu dokonana. Dlatego ten słodki, ale i syntetyczny (jak sztuczny miód) fragment sentymentalnej stylizacji o filuternie zarysowanej miłosnej tematyce jest tylko przesłoną, wielką kotarą słów, które zasłaniają dramat zbrodni, skandal śmierci i niechybność rozpaczy. W tym punkcie niejako archimedesowym mogą spotkać się Keats z Nietzschem i podać sobie ręce w obecności jeszcze jednego pana (Cogito) — Zbigniewa Herberta. W jednej chwili wszyscy trzej stoją po stronie wtajemniczonych, a właściwie roz-tajemniczonych — tych, którzy wiedzą, że literatura to tylko (i aż) piękne

klamstwo, rodzaj letejskiego napoju, który pozwala na lekturowy moment zapomnieć o prawdziwej naturze świata. To też ważny punkt: spotkanie tej trójki (Keats, Nietzsche, Herbert) z nami — słuchaczami, odbiorcami tego, wyzbywającego złudzeń, tekstu. To miejsce czule poezji — miejsce, które boli.

Kręgi tematyczne, które prześwieciła myśl poetycka, były już rozważaniami nad Naturą, Historią, Literaturą. Przyszedł czas najwyższy na Teologię, Religię, Wiarę.

Jak mam rozumieć waszą mroczną parabolę
barok różowych aniołków śmiech białych piszczeli
trybunał o zaranku egzekucja nocą
życie na oślepie zmieszane ze śmiercią

Zdążyliśmy już przyzwyczać się do nagłych spięć, które generuje sposób poezjowania Herberta. Lecz te iskry dialektyczne powstawać będą zawsze, gdy zderzy się binarnie opozycyjne pojęcia, gdy zestawi się ciepły front nominalizmu i szcęgółu z zimnym frontem wielkiej syntezy. „Barok różowych aniołków śmiech białych piszczeli” to klasyczny przykład Herbertowego paradoksu, który staje się czymś więcej niż tylko mocą figury językowej stanowiący. To symbol ukazany trójwymiarowo w jednym wersie — jak medal w swym awersie i rewersie. Janusz Pelc mówił o baroku jako o epoce przeciwieństw. Herbert, nominalnie i figuratywnie zarazem, mówi to samo. Barokowe putto — grubiotki aniołek-dziecię jest tożsamy z innym emblematem epoki — kośćmi, kostuchą, skrzyżowanymi piszczelami. W epoce wojen życie było bowiem tak samo naturalne jak śmierć. Przykładowo: pogrzeby odbywały się w biesiadnej i hulaszczej atmosferze, aż do następnego zgonu „z nadmiaru”, co stanowiło pretekst następnego „smutnego” święta. To epoka, która postawiła na głowie wszelkie klarowne etyczne rozstrzygnięcia i wypadła niejako z orbity racjonalnie pojmowanych humanistycznych wartości. Lecz ten karnawał nonsensu miał bardzo przyziemne i czasami merkantylne przyczyny — wojny, konflikty etniczne, epidemie. Dlatego to specyficznie barokowe „oswojenie” rozpaczy nie jest remedium dla dwudziestowiecznego poszukiwacza utraconego sensu. Stanowi anomalię, a nie analogię, którą można by było przenieść w czasy sobie współczesne. Dlatego monologista symptomatycznie kończy te rozważania wartościującym stwierdzeniem — „mniejsza o barok którego nie znoszę”. Warto jeszcze na chwilę zatrzymać się przy fragmencie: „trybunał o zaranku egzekucja nocą / życie na oślepie zmieszane ze śmiercią”. Słowa te potwierdzają przypuszczenia

innej mrocznej paraboli — Kafkowskiego przekleństwa nadzoru, iluzorycznej winy i jeszcze bardziej niezrozumiałej kary. W całej tej frazie pobrzmiewa dodatkowo poetyka przepisu kulinarnego: składniki, pora przyrządzenia, sposób wykonania. „Życie zmieszane ze śmiercią” — taki przekładaniec nawet dla tego nihilisty pozostanie ciężkostrawny (stanie kością w gardle).

lecz kto rządzi
czy bóg wodnistooki z twarzą buchaltera
demiurg nikczemnych tablic statystycznych
który gra w kości zawsze wychodzi na swoje
czy konieczność jest tylko odmianą przypadku
a sens tęsknotą słabych uludą zawiedzionych

Tyle pytań — o dęby —
Tyle liści a pod każdym liściem
Rozpacz

Pytanie o Boga, o przyczynę sprawczą świata to najczęściej chyba zadawane „ważne” pytanie, a na pewno najczęściej pozostające bez jasnej odpowiedzi. I trzeba przyznać — to najtrudniejszy fragment *Dębów*. Wiele kontrowersji narosło na tej ostatniej gałęzi — przez te ciemne pytania wielu przestało ufnie słuchać Pana Cogito. Ale może i dobrze — Herbert bowiem nigdy nie stronił od kontrowersji, a wywołując ten skandal metafizyczny, szczęśliwie oczyścił swą publikę od dewotów. Zatem skąd wzięły się te oskarżenia o bluźnierstwo i czy są zasadne? Najbardziej bluźniercze wydaje się to, że te interpelacje (kto rządzi?) nie są wystosowane tylko wobec Boga, lecz zakładają jego nieistnienie w postaci alternatywnych konieczności, przypadku. I to Herbertowe „albo, albo” wydaje się najbardziej nihilistyczne. Samo sformułowanie „bóg wodnistooki z twarzą buchaltera”, które jest ikoniczną kontaminacją dostojewszczyzny z hebraistyką, czy demiurg nikczemnych tablic statycznych, który stanowi drwinę z oświeceniowej sztucznej inteligencji — mechanistycznych wymysłów La Mettriego wmawiającego światłu pokoleniu, że dziejami rządzi makroprocesor, który prawem serii decyduje o przyszłych wypadkach, są tylko implementacją znanej wszystkim Herbertowej ironii. Lecz to postawienie na szali boga i nicości dla wielu pozostało cierniem i nadużyciem. I widać jak boleśnie odczuł to sam autor, jeśli napisał z przekorą, że sens jest tęsknotą słabych. Herbertowe noktowidzenie wiedzione nakazem, by schodzić jak najgłębiej „po złote runo nicości”, jak najniepokorniej „iść wyprostowanym” (nawet gdy wypada kłęczeć),

tym razem też odkryło, że jedyną tajemnicą tego świata jest brak tajemnicy, czarna pustka.

Dęby to bardzo rozłożysty tekst. Wpisana weń testamentalność nie będzie pierwiastkowo czystą postacią swego gatunku, a i sam tekst Herberta nie będzie wypełniał tylko i wyłącznie postulowanych formatów mówienia *in articulo mortis*. Testamentalność to skaza tego tekstu, aura, która unosi się ponad jego lekturą. Gorzką codę — „A Pod każdym liściem rozpacz” — można przeczytać metatekstualnie: a pod każdym słowem rozpacz. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa Jacquesa Derridy, który twierdził, że „każdy grafem ma rangę testamentalną”.

Literatura

Franaszek A., 1997, „*a pod każdym liściem rozpacz*”, „Teksty Drugie”, nr 1, 2.

Stala M., 1997, *Druga strona. Notatki o poezji współczesnej*, Kraków.

Miłosz Piotrowiak, doktor, adiunkt w Zakładzie Literatury Współczesnej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. I. Opackiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Autor książki „*Kto ten pejzaż zimą niewydarzoną zautruł?*” *Tropy egzystencji w liryce Jerzego Kamila Weintrauba* oraz szkiców o polskiej poezji XX wieku drukowanych w czasopismach i tomach zbiorowych.